

## 2 Szkoła duchowości biblijnej (13 listopada 2006)

Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus! I zaczynamy! „W imię Ojca . . .”. „Ojcie nasz. . .”. „Stolico Mądrości . . .”. Drodzy państwo, witam bardzo serdecznie. Listopad, grudzień, styczeń to te najtrudniejsze miesiące w roku – i te nasze konferencje. Z całą pewnością nie jest rzeczą łatwą wyjść z domu, przyjść, brać w nich udział. Ale jak widać od wielu, wielu lat państwo ciągle znajdują siły. A patrząc na państwa myślę, że to nasze przedsięwzięcie, to, czym się zajmujemy, moglibyśmy określić nazwą *szkoła duchowości biblijnej*. Gdyby były jakaś możliwości, to pewnie można by było ująć to w jakieś kategorie, które rzeczywiście bardziej do szkoły by przystawały. I szkoła duchowości biblijnej — a nie tylko wiedzy biblijnej — to dlatego, że chociaż staramy się poznawać wiedzę z Biblią związaną, to przede wszystkim chodzi o kształtowanie pewnego sposobu myślenia, a także kształtowanie postaw, które na Piśmie Świętym się opierają, które z niego wynikają i które prowadzą do jego lepszego zrozumienia. Ale celem nie jest samo Pismo Święte, tylko celem jest bardziej dojrzałe i głębsze życie chrześcijańskie.

Pamiętając państwo, że w tym roku wybraliśmy jako przedmiot naszej refleksji temat który, gdybyśmy chcieli go potraktować i nazwać naukowo, moglibyśmy go sformułować „Eklezjologia Nowego Testamentu”. W przełożeniu na prosty język, bardziej pospolity, chodzi o rzeczywistość i ideał Kościoła w Nowym Testamencie. Chodzi o to, żebyśmy starali się zrozumieć czym jest Kościół, jaka jest jego geneza, jaka jest jego natura, jakie są jego cele, jaka są jego zadania. I oczywiście przez to samo: jakie jest nasze miejsce i nasza rola w Kościele. Wydaje się – tak mówiłem miesiąc temu i myślę, że to spotkało się z państwa zainteresowaniem – że jednym z czołowych problemów, przed jakimi stajemy po śmierci Jana Pawła II, i z którymi zmagamy się w ciągu ostatniego półtora roku i zapewne w przyszłości, krótszej czy dłuższej, to jest właśnie problem Kościoła, problem przynależności do Kościoła i problem naszego miejsca w Kościele.

Więc dzisiaj posuniemy się jeszcze dalej. Szukamy światła w Piśmie Świętym dlatego, że zdajemy sobie sprawę, że są dwa zasadnicze źródła Objawienia, dwa źródła naszej wiary, na których ta wiara jest oparta i przez które powinna być kształtowana — mianowicie Pismo Święte i Tradycja. Sprawa Tradycji to sprawa przede wszystkim historyków Kościoła, a także tej części teologii, którą zwykliśmy nazywać *teologią systematyczną*, zajmującą się dogmatami, prawdami wiary, teologią moralną. Otóż dotykamy tych zagadnień, tych kwestii, ale skupiamy się bardziej na biblijnym ujmowaniu problematyki, którą chcemy się zajmować. Czyli udajemy się do tego pierwszego źródła Objawienia i pierwszego źródła naszej wiary, czyli do ksiąg świętych, które dla tej wiary są normą w najpełniejszym i najwyraźniejszym tego słowa znaczeniu. Przed miesiącem rozpoczęliśmy zaledwie lekturę Pierwszego Listu św. Pawła do Tessaloniczan, i bardzo mocno kładłem państwu do głowy i do serca coś, co jest proste i dlatego bardzo ważne. Mianowicie, że jest to najstarsze pismo Nowego Testamentu, które powstało jeszcze przed Ewangeliami. I że to pismo najstarsze, napisane około r. 50, rozpoczyna się od słowa *Paulos*, od słowa *Paweł*. Oto jest najpierwsze, podstawowe słowo Nowego Testamentu — właśnie *Paweł*, autor tego Listu. To jest jednocześnie klucz do zrozumienia Nowego Testamentu, którego oczywistą istotą jest Jezus Chrystus.

Dzisiaj w nawiązaniu do tego, o czym mówiliśmy przed miesiącem, i żeby posunąć się krok dalej, zacznę od dwóch problemów, czy od dwóch spraw, które tworzą kontekst naszej refleksji. Jedna z nich była już widoczna przed miesiącem. Drugą, jak myślę, postawimy sobie dzisiaj na początku naszej refleksji, jeszcze zanim przejdziemy do dalszej lektury Pierwszego Listu św. Pawła do Tessaloniczan. Otóż po pierwsze zwróćmy uwagę na to, że kiedy Apostołowie w samych początkach naszej wiary rozpoczynali swoją działalność misyjną, działalność misjonarską, działalność ewangelizacyjną, to mieli przed sobą dwa środowiska. Powtarzamy sobie to do znudzenia, powtarzamy to sobie często, bo to znów jest jedno z drzwi i jedno z okien prowadzących do zrozumienia i początków naszej wiary, i naszej wiary dzisiaj. Te dwa środowiska, do których się udawali, to byli najpierw Żydzi, o których wydawać by się mogło, że przez Stary Testament zostali doskonale przygotowani przez Boga do przyjęcia Ewangelii. Okazało się, że pomimo tego, że to do nich Bóg skierował Słowo Objawienia, pomimo tego, że to oni pozostają, i pozostali wtedy narodem bożego wybrania, to bardzo wielu z nich powiedziało Apostołom, tak jak wcześniej Jezusowi — „Nie!” Wiele razy państwu podkreślałem, że ile razy przychodzi nam do głowy, żeby z tego powodu potępiać Żydów, to miejmy na względzie to, że Żydzi tutaj, ich odmowa, są w jakimś sensie obrazem losu każdego

człowieka, a mówiąc dokładniej — obrazem losu Pana Boga w relacjach z każdym człowiekiem. Otóż Pan Bóg z każdym człowiekiem, i z nami chrześcijanami również, od czasu do czasu ponosi porażki. A ta porażka następuje wtedy, kiedy grzeszymy, kiedy wykraczamy przeciw Jego woli, albo kiedy tę wolę depreczemy. Zatem ta odmowa Żydów ma charakter, moglibyśmy powiedzieć, wzorcowy, paradygmatyczny.

To jest ten jeden świat, do którego szli Apostołowie. Szli więc tam, gdzie było żydowskie życie religijne. Udawali się do synagog, udawali się tam, gdzie znajdowali swoich współrodaków. Znajdowali tych, którzy czcili Pana Boga, którzy czytali pierwszą część Pisma Świętego – wtedy to była jedyna część Pisma Świętego, mianowicie Stary Testament. Udawali się do nich i pokazywali im, i mówili, że na kartach Starego Testamentu jest obecny Chrystus, bo Stary Testament do Chrystusa prowadzi. Otóż ten wymiar prawdy o chrześcijaństwie pozostaje ważny również i dzisiaj. Stary Testament jest także własnością nas chrześcijan. I nawet jeżeli go niezbyt znamy, czy nawet jeżeli go nigdy nie przeczytaliśmy, to on wyznacza fundament naszej wiary. Można by powiedzieć, że los Starego Testamentu to trochę tak, jak los każdego fundamentu. Kiedy wchodzimy do jakiegoś domu, to im ten dom jest wyższy, tym fundament musi być solidniejszy i oczywiście głębszy. Ale wchodząc do domu nie zastanawiamy się w ogóle nad fundamentem. Wchodząc do domu nie przychodzi nam do głowy jakiego rodzaju, jakiego typu jest ten fundament — chyba, że ktoś jest budowniczym. Podobnie z budowlą Kościoła. Otóż nie przychodzi nam do głowy ten fundament, którym jest Stary Testament, w którym są dzieje narodu bożego wybrania w czasach przed Chrystusem, aczkolwiek bez Starego Testamentu nie byłoby ani Jezusa Chrystusa i Jego zbawczej działalności, ani też nie byłoby zbawczej rzeczywistości Kościoła. To jest ten fundament — Stary Testament i całe dzieje zbawienia w Starym Testamencie przedstawione — to jest ten fundament, którego w Kościele nie widać, tak jak nie widać fundamentu w domu, do którego wchodzimy. Nie zdajemy sobie nawet sprawy z tego, że ten fundament mamy. Ale ten fundament istnieje.

Apostołowie więc budowali na tym fundamencie i udawali się tam, gdzie spotykali już swoich współrodaków i współwyznawców, przygotowanych do głoszenia Słowa Bożego i do przyjęcia Słowa Bożego. Wiemy, że od samego początku spotykali się ze sprzeciwem. Skutek tego sprzeciwu był taki, że zwracali się do pogan. I tu mamy to drugie środowisko, niesłuchanie ważne. Otóż poganie byli ludźmi religijnymi, tylko religijnymi w inny sposób. To byli Grecy, mieszkańcy Azji Mniejszej, mieszkańcy Bałkanów, mieszkańcy Krety, Cypru, najrozmaitszych regionów. Oczywiście ich, liczbowo biorąc, było znacznie więcej niż Żydów. I wyznawali rozmaite religie pogańskie. Byli bardzo podatni na Ewangelię, ale trzeba było ich przygotowywać od samego początku. Na czym polegał problem, który miał św. Paweł, św. Piotr, inni Apostołowie, z którego to problemu rzadko zdajemy sobie sprawę? Otóż co się stało wtedy, kiedy Żydzi, do których Apostołowie kierowali swoje pierwsze kroki, nie przyjęli Ewangelii? Tak było w Azji Mniejszej, w wielu miastach Azji Mniejszej, tak było w Filipi, tak było w Tessalonikach, tak było w Berei, tak potem było w innych miastach i miejscach wzmiankowanych na kartach Nowego Testamentu. Co się stało? Gdzie można było głosić tę Ewangelię o Chrystusie? Otóż na pewno nie w sanktuariach pogańskich. Ci pierwsi Apostołowie nie szli do świątyń pogańskich, te świątynie pogańskie omijali dużym łukiem bo zdawali sobie sprawę, że tam ich nauczanie będzie też skazane na niepowodzenie. Tak więc zauważmy rzecz bardzo ważną — że w pierwszych pokoleniach głosicieli Ewangelii praktycznie nie było struktur własnych chrześcijaństwa. Wszystko działo się, odbywało się, rozgrywało się w ludziach i pomiędzy ludźmi. Synagogi były własnością wyznawców judaizmu, i pozostały własnością tych wyznawców judaizmu, którzy w Jezusa nie uwierzyli. Pogańskie miejsca czci nie wchodziły w rachubę. Nie było przecież kościołów, nie było kaplic, nic z tego jeszcze nie zaistniało. I w związku z tym Apostołowie byli skazani na to, że z tymi, którzy uwierzyli w Jezusa, mogli spotykać się w domach, w rodzinach, na ulicy, nad rzeką – tak, jak to miało miejsce w Filipi. A więc w rozmaitych miejscach. I można było polegać wyłącznie na ludziach. I to jest jeden z aspektów, które dla zrozumienia natury, charakteru Kościoła są bardzo ważne. Zawsze w Kościele, także dzisiaj, człowiek jest ważniejszy niż struktury, które ten Kościół również współtworzą. Ta prawda wydaje się oczywista, wydaje się banalna, ale nie zawsze ona jest taka prosta. Bo bardzo często dzieje się tak, że dla utrzymania czy dla podtrzymania pewnych struktur, nawet jeżeli te struktury są skostniałe, bywają poświęceni ludzie. Albo też traktuje się czy ceni struktury wyżej niż człowieka, polegając właśnie na utrwalonych zwyczajach, przyzwyczajeniach, sposobach życia. Natomiast mniej kładąc nacisk na człowieka. Tymczasem to,

co w naszej wierze najważniejsze, rozgrywa się we wnętrzu człowieka. I tym, co stanowi spoiwo Kościoła, to są więzi pomiędzy ludźmi. Także pomiędzy tymi, którzy są zwyczajnymi wiernymi, a pomiędzy tymi, którzy w Kościele przewodzą. Jeżeli brakuje tej solidarności, wrażliwości, jeżeli brakuje tych więzi, które są spoiwem jedności, to wtedy Kościół bardzo szybko się rozplywa, a nawet więcej — bardzo szybko topnieje, bardzo szybko mięknie, a w efekcie nawet ginie. I jeden z kryzysów, przed którymi Kościół zawsze stawał w rozmaitych wiekach, i z którym zdarza się, że mamy także do czynienia dzisiaj, to jest preferowanie struktur przed więziami z poszczególnym człowiekiem, z każdym człowiekiem. Na początku swojego pontyfikatu Jan Paweł II dlatego wyraźnie powiedział: „Drogą Kościoła jest każdy człowiek”. I jest to najważniejsze, chociaż zarazem najprostsze, najbardziej oczywiste zdanie wprowadzające w jego pontyfikat. Otóż te więzi, które przesądzają o trwałości Kościoła, to są więzi, które tworzą się pomiędzy ludźmi. Bo nawet może być tak, że struktur zabraknie, albo jesteśmy w sytuacji jakiejś katastrofalnej czy karkołomnej kiedy tych struktur nie ma, i wtedy to, co najważniejsze, dokonuje się w człowieku. Zwróćmy uwagę, że kiedy Paweł opuszczał Filadelfię, opuszczał Tessaloniki, opuszczał Berek albo Ateny, to nie zostawiał za sobą żadnej struktury. Nie powstała kaplica, nie powstał kościół, nie powstała jakaś widoczna organizacja. Tylko to, co łączyło tych ludzi, to było wzajemne zaufanie, pamięć, chęć pomocy, troski, życzliwość. I ten moment rozpoznajemy także i znajdujemy dzisiaj w Liście św. Pawła do Tessaloniczan.

I pozostaje rzecz druga, na którą chciałbym zwrócić uwagę państwa z nadzieją, że zostaną dobrze zrozumiani, i z nadzieją, że przykład, który podam, przemówi do nas i da nam wszystkim do myślenia. Nie jest to taka rzecz, która jest zupełnie jasna. Myślę też, że tego rodzaju przykład i tego rodzaju ścieżkę myślenia można podać ludziom dojrzałym. Rzecz znów wydaje się stosunkowo łatwa. Mianowicie istnieje dwojaki rodzaj charyzmatu, istnieje dwojaki rodzaj bożego daru, istnieje dwojaki rodzaj bożej łaski. Jeden to jest charyzmat związany z osobą. Drugi to jest charyzmat związany z urzędem. Chciałbym zwrócić uwagę państwa na ten wątek, bo jest to niesłychanie istotne dla zrozumienia Kościoła. Co to znaczy charyzmat związany z osobą? Otóż są osoby wyposażone przez Boga w rozmaite dary, nazwijmy je: talenty. Które to talenty, jeżeli są rozwijane, to budzą ciekawość, zainteresowanie, przyciągają, budzą czasami podziw, uznanie dla tego właśnie człowieka. Takie talenty mogą mieć rozmaite podłoże. Ktoś może pięknie mówić. Ktoś może pięknie śpiewać. Ktoś może pięknie malować. Ktoś inny może porywać tłumy swoją aparycją, swoim wyglądem. Ktoś jeszcze inny ma jakąś zdolność logicznego myślenia czy przewidywania, ktoś inny jest urodzonym przywódcą. Ktoś jeszcze inny ma dary, które inni zauważają, które inni doceniają i które pozwalają na to, że powierza mu się jakąś rolę przywódczą. A w każdym razie się go ceni tak, że kiedy ten człowiek np. odchodzi, umiera, to wtedy rzeczywiście pojawia się jakaś wielka luka w życiu społeczności, czasami w życiu bardzo wielkiej wspólnoty. To jest charyzmat osoby. Można ten charyzmat zapoznać, zagubić, zniszczyć. Można ten charyzmat również tak rozwinać, że będzie świecił, będzie błyszczał jak oszlifowany diament.

Obok tego jest charyzmat urzędu. Są mianowicie takie urzędy, takie funkcje, takie stanowiska, również w Kościele, które z natury swojej przyciągają ludzi, które z natury swojej wywołują podziw, wywołują zaciekawienie tak, jak tamto związane z osobą. Które z natury swojej ściągają tysiące, setki tysięcy ludzi, i miliony ludzi. Powodują, że każdy człowiek tym urzędem jest zainteresowany. I teraz podam państwu przykład, który nas Polaków, nas również dzisiaj, bardzo dotyczy. Zatrzymajmy się nad kardynałem Karolem Wojtyłą. Mówię to dlatego, żebyśmy za chwilę wrócili do Pisma Świętego. Spróbujmy wyobrazić sobie następującą, hipotetyczną sytuację. Spróbujmy napisać wirtualną historię — która się nie zdarzyła, ale możemy tak sobie pomyśleć — końca XX wieku, i wyobraźmy sobie taką sytuację. Oto arcybiskup kardynał Karol Wojtyła nie został papieżem. Pozostał w Krakowie arcybiskupem i kardynałem — już go do tej pory też by nie było — albo wyobraźmy sobie, że został arcybiskupem warszawskim i następcą kardynała Stefana Wyszyńskiego. Do czego zmierzam? Chciałbym, żeby państwo się zastanowili — bo dyskusji robić nie będziemy, bo nie ma fizycznej możliwości, ale proszę się zastanowić — czy gdyby kardynał Karol Wojtyła pozostał arcybiskupem krakowskim, albo nawet arcybiskupem warszawskim, czy przyciągałby tak jak magnes te setki tysięcy i miliony ludzi? Zaczynamy czuć problem i myślę, że możemy ze spokojnym sumieniem powiedzieć, że nie! Otóż przecież kardynał Wojtyła sprawował swoje rządy w Krakowie, był metropolitą krakowskim, i nie było tak, że każda jego homilia, każde

kazanie cieszyło się uznaniem, popularnością, wzięciem tłumów, które za nim chodziły. Można by powiedzieć zdecydowanie, że w tamtym okresie, w tamtych czasach od tej ludzkiej strony, i od strony popularności, osoba, charyzmat i osoby, i urzędu, prymasa tysiąclecia zdecydowanie dominował. Otóż całą wielkość Karola Wojtyły stała się jawna, stała się widoczna wtedy, kiedy został papieżem. Ale dodajmy do tego rzecz, którą trzeba dobrze zrozumieć. Został papieżem nie dlatego, że był najwspanialszym i największym ze wszystkich ówczesnych kardynałów, którzy zgromadzeni byli na konklawe, lecz dlatego, że tak chciał Pan Bóg. Żaden człowiek nigdy nie jest przygotowany do takiej roli, jaką jest rola Namiestnika Jezusa Chrystusa i rola następcy św. Piotra. Otóż dopiero ta rola, dopiero to miejsce sprawia, że człowiek wykazuje, pokazuje, ujawnia talenty, które bez tego nie byłyby po prostu widoczne. Gdyby Karol Wojtyła nie został papieżem, z całą pewnością jego życie, życie naszej Ojczyzny, życie Kościoła potoczyło by się inaczej.

Do czego zmierzam? Otóż to właśnie charyzmat tego wysokiego urzędu sprawia, że podchodzimy do człowieka wyniesionego na ten wysoki urząd przez Boga, bo przecież bez bożego wsparcia nic się nie dzieje, podchodzimy z czcią, z atencją, z uznaniem, z szacunkiem, chcąc go zobaczyć, dotknąć, przywitać. Tak samo zresztą, jak każdego papieża, który i przed i po Janie Pawle II pełnił tę posługę piotrową. Myślę nawiasem mówiąc, że jednym z nieporozumień, jakie bardzo często może się wkładać do naszego myślenia o Kościele, jest to, że nie mamy dość jasnego rozróżnienia między charyzmatem osoby a charyzmatem urzędu. Że nie dość jasno zdajemy sobie sprawę, że są takie urzędy które, mówiąc po łacinie „ipso facto” – przez sam fakt sprawowania tego urzędu sprawiają, że człowiek staje się szlachetniejszy, bardziej widoczny, potrzebny innym, godny podziwu itd. Dałby Bóg, żeby ci, którzy mają te urzędy i stanowiska, do nich w pełni dorastali. Zdarzać się bowiem może i tak, że nie zawsze ktoś wyniesiony na wysoki urząd i cieszący się charyzmatem, darami tego urzędu, potrafi sprostać temu wszystkiemu, co z nim związane, i tym wszystkim nadziejom, które się w nim pokłada.

Wróćmy zatem teraz do Nowego Testamentu. Otóż kiedy św. Paweł poruszał się z miejsca na miejsce — po kolei z Azji Mniejszej do Grecji, potem z Grecji wracał do Syrii i do Palestyny — kiedy go przyjmowano, kiedy traktowano go z szacunkiem, kiedy traktowano go z wielkim uznaniem, kiedy zapamiętywano go, kiedy go wspierano, kiedy pisano do niego listy, gdy on na te listy odpowiadał — to było tak nie z powodu jego osobistych zasług, nie z powodu jego świętości osobistej, ale przede wszystkim z powodu owego charyzmatu urzędu. To znaczy ci, którzy przyjmowali wiarę w Jezusa Chrystusa, mieli świadomość, że mają przed sobą Apostoła, prawdziwego Apostoła, i to takiego Apostoła, który potem w tradycji chrześcijańskiej otrzymał nazwę Trzynasty Apostoł. Otóż zdawali sobie sprawę z tego, że staje przed nimi ktoś, kto doświadczył Jezusa Chrystusa bardzo osobiście, bardzo mocno, bardzo życiodajnie, bardzo żarliwie. I to właśnie powodowało zainteresowanie osobą i misją św. Pawła.

Postawmy rzecz inaczej. Gdyby oni nie wiedzieli, że to jest właśnie ten Paweł, to być może Apostoł przeszedłby przez nich zupełnie niezauważony. Ale fakt, że wiedzieli kim on jest, to jednocześnie jemu pozwalało lepiej wyrazić tę swoją chrześcijańską tożsamość. Wniosek z tego jest taki. Są w Kościele urzędy, tak jak w ogóle w życiu, także świeckim, ale w Kościele widać to bardzo wyraźnie i od 2000 lat, które powinny być chronione ze szczególną pieczołowitością, i które powinny być otaczane czcią. Bo nie tylko ludzie, którzy obejmują te urzędy, nie są przypadkowi, ale i same te urzędy są czymś absolutnie wyjątkowym. Wobec tego, raz jeszcze nawiązując do Jana Pawła II — jeżeli podziwiamy Jana Pawła II to nie tylko, a nawet nie tyle, za zalety jego charakteru, za sposób sprawowania posługi, lecz za sam fakt kim on był. I myślę, że w naszych czasach trzeba to coraz mocniej uzmysłwić, coraz mocniej zrozumieć. Że oto w naszej najnowszej historii Polski i Kościoła wydarzyło się coś absolutnie wyjątkowego. To, czego nie było nigdy przez 1000 lat wcześniej. To, że papieżem, następcą św. Piotra został nasz rodak. To samo w sobie jest cudem. I ten właśnie charyzmat urzędu pozwolił jemu samemu rozwinąć charyzmat swojej osoby, a nam wszystkim uświadomił, że byliśmy, staliśmy się i nadal jesteśmy świadkami swoistego cudu.

Więc są urzędy, które trzeba chronić. Są urzędy, których wagi trzeba być świadomym. I żeby takiego spokojnego i wzniosłego obrazu nie psuć dodajmy tylko, że ci, którzy się Kościołowi przeciwstawiają, albo którzy się z nim wadzą, bądź którzy przeciw niemu występują, na ogół wiedzą o tym, o czym teraz mówimy i lekce sobie ważą nie tylko to, co wiąże się z osobą, ale także to, co wiąże się z niezwykleymi urzędami, w tym w Kościele przede wszystkim. Otóż Kościół potrzebuje

tych urzędów jako spoiwa. Urzędów, funkcji, stanowisk – jakkolwiek je nazwiemy – jako spoiwa swojej tożsamości. Żebyśmy wiedzieli, że w naszej wspólnocie w tych określonych ludziach, którzy te posługi sprawują, dzieje się coś szczególnie ważnego, szczególnie doniosłego. I w związku z tym tym ludziom należy się szczególny szacunek — nie dla zalet ich samych, tylko dla wielkości, dla majestatu, dla znaczenia urzędu, który sprawują.

Myślę, że teraz możemy przejść do dalszej lektury Pierwszego Listu św. Pawła do Tessaloniczan, bo w moim przekonaniu jeden i drugi wątek, na który wskazaliśmy, są tutaj obecne. Apostoł napisał tak. Zwracając się do Tessaloniczan przebywa w Koryncie. On pozostaje u siebie w domu. Otrzymał wieści o nich. Kieruje do nich swoich posłańców i rozpoczyna tak:

Zawsze dziękujemy Bogu za was wszystkich, wspominając o was nieustannie w naszych modlitwach, pomni przed Bogiem i Ojcem naszym na wasze dzieło wiary, na trud miłości i na wytrwałą nadzieję w Panu naszym Jezusie Chrystusie.

Widzimy, że ten list, Pierwszy List Apostoła, jest utrzymany w tonacji bardzo serdecznej. Zdarza się, także w Kościele, że uczucia, emocje, a więc także życzliwość czy serdeczność, bywają ukrywane, chowane, albo się ich wstydzimy. Zdarza się, że język mówienia o Bogu, o Chrystusie, ale także język i sposób zwracania się między nami, są bardzo oficjalne. Może jeden przykład — nie po to, żeby rozbudzać wyobraźnię, ale jednak dać trochę do myślenia — proszę zwrócić uwagę choćby na styl komunikatów episkopatu. Bardzo często one są tak oficjalne że ci, którzy ich słuchają, my wszyscy, nawet ci, którzy je czytają, potrafią się bardzo szybko wyłączyć. A w każdym razie nawet jeżeli uważnie wsłuchujemy się w treść komunikatu, to ten komunikat jest tak lakoniczny i tak suchy, że nie odczuwamy żadnych specjalnych poruszeń, kiedy go wysłuchamy. I pewnie mało byłoby wśród nas osób, które byłyby w stanie po wyjściu z kościoła dokładnie streścić, co usłyszeli. Otóż każdego człowieka poruszają nie tylko argumenty, nie tylko wiedza. Ale każdego człowieka porusza coś, co ma ten wymiar wewnętrzny, co jest głęboko duchowe, co przemawia do wyobraźni, co przemawia do uczuć, jednym słowem co przemawia do serca.

Popatrzmy, że Paweł pisze list nacechowany głęboką miłością, życzliwością i serdecznością do ludzi, których kilka miesięcy temu spotkał.. Otóż ta życzliwość staje się punktem wyjścia dla budowania pamięci i więzi solidarności między nimi. Sądzę zatem, że jedno z wyzwania, przed którymi staje Kościół, jeżeli rzeczywiście nasza misja ma być skuteczna, jest większe ubiblijnienie języka, w którym mówimy i myślimy o Bogu, ale także języka, jakim zwracamy się nawzajem do siebie. Zatem odejście od tego, co oficjalne co suche, co urzędowe, na rzecz czegoś, co buduje takie bezpośrednie międzyludzkie relacje, a wśród nich tę najważniejszą, mianowicie więź zaufania. Otóż nie jest to postulat, którego nie jesteśmy świadomi. Dlatego, że sami czujemy, że w Kościele bardziej, niż gdzie indziej, potrzebny jest język miłości. Całe Pismo Święte jest napisane językiem miłości Boga do człowieka, ale także człowieka, który na rozmaite sposoby Panu Bogu odpowiada. I w tym piśmie, które czytamy dzisiaj, w Liście św. Pawła, też widzimy ten ogromny ładunek serdeczności, rozpoczynający się od podziękowania.

... pomni przed Bogiem i Ojcem naszym na wasze dzieło wiary

Wiary, miłości i nadziei. Trzy główne cnoty. Nazywamy je trzy cnoty boskie, trzy cnoty kardynalne. Za to właśnie, za wierność tym cnotom, Apostoł chwali adresatów swojego listu, mieszkańców Tessaloniki. Ale chwali ich w taki sposób, że ich po prostu wzrusza. My w Kościele bardzo często boimy się wzruszeń. Tymczasem myślę, że mamy także we współczesnym Kościele liczne przykłady takiego języka i sposobu mówienia, kiedy to przemawiający, mówiący o Chrystusie, osiąga znacznie więcej przez prostotę mówienia, szczerość i życzliwość, niż miałyby używać mądrego języka, mądrych racji i argumentów. Zauważmy dla przykładu, że gdy wspominamy choćby obecność Jana Pawła II i jego homilie wygłoszone u nas, to myślę, że mimo wielkich wątków teologicznych które poruszał, to bardziej w sercach pozostały kremówki papieskie choćby, czy wspomnianie topografii Wadowic, i okolic Wadowic, i gór. One przemówiły bardziej, bo Ojciec Święty tam ukazał się jako człowiek, który do swoich rodaków przemawia językiem serca. Bardzo często zresztą tak przemawiał i to powodowało, że ludzie chętnie za nim szli. Gdybyśmy mieli szukać takich przykładów jeszcze trwających, to zwróćmy uwagę — przynajmniej dla mnie osobiście — takim człowiekiem, który mówi

cały czas językiem serca jest biskup Józef Zawitkowski. Jego homilie, jego kazania przemawiają właśnie do ludzkiego serca. Ludziom wysokiego intelektu – tak zwanym – wydają się one proste, czasami nawet śmieszne, ale właśnie te proste słowa równie skutecznie przekazują prawdę o Bogu. Gdybyśmy mieli szukać dalszych przykładów, to oczywiście ciśnie nam się zwłaszcza na usta, i do serca jednak, poezja księdza Jana Twardowskiego, którego kilka miesięcy temu pogrzebaliśmy. Otóż można odnieść wrażenie, że więcej dobrego czy bardziej skuteczny pozostaje jego tomik poezji z wierszami, w których określa Pana Boga sercem, niż całe tomy teologicznej produkcji, przez które mało kto jest w stanie przebrnąć. Choćby takie proste słowa, jak:

Śpieszmy się kochać ludzi, bo szybko odchodzą

zrobiły niebywała karierę, bo udało się sercem wyrazić sprawę najprostsze. Otóż to jest zawsze wyzwanie, przed którym staje każde pokolenie w Kościele. I myślę, że także na naszym poziomie, na poziomie zwyczajnych ludzi, wszędzie tam, gdzie jesteśmy, w środowiskach, w których się poruszamy, wobec naszych bliskich, sąsiadów, wobec ludzi, z którymi dzielimy się skarbami naszej wiary, bardzo często bardziej skuteczna jest wrażliwość, przywiązanie,

życzliwość niż argumenty które, nawiasem mówiąc, nie zawsze mamy w kieszeni i w głowie, żeby je wydobyć. Bo przecież wiara pozostaje wiarą i nie zawsze daje się zracjonalizować. Dalej Apostoł napisał tak:

Wiemy, bracia przez Boga umiłowani, o wybraniu waszym, lecz nasze głoszenie Ewangelii wśród was nie dokonało się przez samo tylko słowo, ale przez moc i przez Ducha Świętego, z wielką siłą przekonania.

Trzy rzeczy zwracają tutaj uwagę. Apostoł mówi: „Wiemy, bracia przez Boga umiłowani, o wybraniu waszym”. Wielu było ludzi mieszkających na terenie Azji Mniejszej. Wiele było miast na terenie Grecji. Ale Paweł był w Ikonii, Derbe, Listrze. Był w Filipi, w salonikach, w Berei, w Atenach, w Koryncie. Po drodze mijał rozmaite miasta i wsie, np. Antipolis – Apolonia. Mijał rozmaite krainy, ale tam nie głosił. Zawsze pojawia się w nas pytanie dlaczego to my jesteśmy chrześcijanami. Dlaczego to my zostaliśmy wprowadzeni tak mocno w tajemnicę Boga, który jest Ojcem i Synem i Duchem Świętym. Chrześcijan w świecie, razem wziętych, jest ok półtora miliarda, zatem jedna czwarta całej ludzkości. Gdybyśmy ustawili ludzkość w taki hipotetyczny rząd, to tylko co czwarty słyszał o Chrystusie i przyjął Go. Paweł nazywa to „wybraniem przez Boga”. Nie potrafimy powiedzieć dlaczego Ewangelia nie osiągnęła takiej skuteczności, że dzisiaj o Chrystusie słyszeli wszyscy. Staramy się Go głosić wszędzie, ale są ludy i narody, które Go nie znają nawet ze słyszenia. Otóż być chrześcijaninem, być wyznawcą Jezusa Chrystusa, tzn. być przez Boga wybranym. Jeżeli kogoś to dziwi, niechże wróci do początku naszej dzisiejszej refleksji. Powiedzieliśmy o biblijnym Izraelu, o Żydach starotestamentowych, że pozostawali narodem bożego wybrania. Wśród wielu różnych ludów i narodów, poczynając od Sumerów, Akedeczyków, Asyryjczyków, Syryjczyków, Babilończyków, Hetytów, Hasytów, Aramejczyków, Edomitów, Amorytów, Filistynów, Egipcjan, Libijczyków, i Bóg wie kogo jeszcze — wśród tych wszystkich ludzi oni zostali wybrani. Powiedzmy sobie jasno, że tajemnica miłości jest zawsze w jakimś sensie niesprawiedliwością. Bo to jest tak, jak w miłości między ludźmi. Dlaczego ten człowiek łączy się z tym człowiekiem? Dlaczego ta dziewczyna czy kobieta kocha tego chłopca czy mężczyznę? Dlaczego ci dwoje są ze sobą złączeni, może lepiej pasowałoby inaczej? Może nie jest to sprawiedliwe, ale właśnie miłość wykracza poza sprawiedliwość, wychodzi poza nią, nie mieści się w jej ramach. Można by powiedzieć, że w jakimś głębszym tego słowa znaczeniu Bóg nie jest sprawiedliwy. Ale usprawiedliwia Go to, że jest Miłością. Nie jest sprawiedliwy, skoro objawił siebie biblijnemu Izraelowi. Nie jest sprawiedliwy, skoro chrześcijanami jest jedna czwarta całej ludzkości. A więc najwidoczniej jest i tak, że tam, gdzie sprawiedliwość jest przewyższana przez miłość, ci, których Bóg wybrał, mają się stawać narzędziami jego miłości, Mówiąc inaczej: w świecie, który Bóg stworzył i który przeznaczył dla siebie, potrzebuje jak gdyby ręki czy rąk, które będą działać w Jego imieniu. Nie chce wszystkiego robić sam, aby nie położyć kresu ludzkiej wolności, aby ludzi nie zgasić, nie przytłumić, nie zająć ich miejsca. Zostawia ten potężny margines dla działalności człowieczej, dla działalności tych, których wybrał. Ale dzięki temu działalność tych, których wybrał, staje się, zyskuje wymiar świadectwa. I

w związku z tym również otrzymują oni szczególną odpowiedzialność. To samo dotyczy nas. Kiedy Apostoł Paweł ponad 1950 lat temu napisał do Tessaloniczan słowa „wiecie bracia, przez Boga umiłowani, o wybraniu waszym”, to jednym z podstawowych elementów prawdy ewangelicznej dzisiaj powinno być żywa świadomość, że ci, którzy są wyznawcami Jezusa Chrystusa, są na przedłużeniu tego wybrania, o którym pisze św. Paweł w Liście do Tessaloniczan.

Wtedy, w jego czasach, tych, którzy uwierzyli w Jezusa, było niespełna kilka, może kilkanaście tysięcy. Dzisiaj jest nas grubo ponad miliard. Ale pewnie zawsze będzie tak, że będą w świecie ludzie, którzy o Chrystusie nie słyszeli i Go nie znają. I zawsze będzie w tym świecie coś do zrobienia właśnie dla tych, którzy stali się świadkami Boga. Św. Augustyn wołał później, i przypominaliśmy sobie kiedyś te słowa: „Poznaj swoją godność, chrześcijanie!” Otóż być chrześcijaninem to jest powód do dumy. Ale pamiętajmy, że źródłem i celem tej dumy nie są nasze zalety, nie są nasze sprawności duchowe, nie jest jakość naszego życia. Źródłem tej dumy jest wybranie boże. Bardzo często zdarza się tak, że jakość naszego chrześcijańskiego życia daleko odbiega od norm i od zasad, które wyznajemy. Mahatma Ghandi zapytany kiedyś, a ukończył szkoły w Europie i znał chrześcijaństwo dobrze, że skoro tak bardzo myśli i mówi po chrześcijańsku, dlaczego nie jest chrześcijaninem, odpowiedział, i jego słowa zapewne państwo znają, że bardzo podoba mu się chrześcijaństwo, ale chrześcijanie — mniej. Otóż zawsze istnieje rozdźwięk między wniesionymi zasadami, które wyznajemy, a życiem, postępowaniem, jakie prowadzimy. Naszym obowiązkiem jest niwelowanie tego rozdźwięku. Ale jednym ze sposobów na niwelowanie tego rozdźwięku jest żywa świadomość tego, kim jesteśmy. Będąc w Kościele, będąc wszczepieni w Kościół, będąc wyznawcami Jezusa Chrystusa, stoimy na przedłużeniu tego samego wybrania, o którego wielkości i godności św. Paweł tak wzniosłe pisze. Państwo zauważą, że są to pierwsze słowa jego pierwszego listu, kiedy uświadamia adresatom, odbiorcom tego listu: pamiętajcie, kim jesteście! I dodaje do tego tak. To jest teraz ten drugi motyw, że:

nasze głoszenie Ewangelii wśród was nie dokonało się przez samo tylko słowo, lecz przez moc i przez Ducha Świętego

W Kościele bardzo często są mnożone słowa. I nasze konferencje, i ten cykl konferencji, są doskonałym tego potwierdzeniem. Ale skuteczność Kościoła i skuteczność wiary nie pochodzi z mnożenia słów. Gadulstwo nie jest przymiotem wiary. Otóż jeżeli wiara istnieje i krzewi się, to istnieje i krzewi się dzięki mocy i światłu Ducha Świętego. To jest fundament wiary. Można by powiedzieć tak, że człowiek sieje albo sadi, tak jak wiosną siejemy bądź zasadzamy kwiatki bądź roślinki. Ale do ich wzrostu potrzebna jest woda. Ta roślina zasadzona przez człowieka wyglądać może bardzo pięknie przez kilka minut, czy kilka godzin najwyżej. Ale potrzebna jest woda. Tą wodą w wierze, w religijności jest sam Pan Bóg, a dokładniej jego Duch, Duch Święty. Otóż jeżeli w Kościele polegano by na słowach, na argumentach, na refleksji, na mnożeniu tych słów, może to do niczego specjalnie nie prowadzić. Kościół jest społecznością która, tak jak społeczność biblijnego Izraela i społeczność Kościoła apostołskiego, tak samo Kościół dzisiejszy, zakorzeniona jest w Bogu i Jego życiu. Zatem siłą Kościoła są nie ci, którzy mówią, lecz ci, którzy się modlą. Siłą Kościoła nie jest wiedza, lecz duchowość. Dlatego powiedziałem, że byłoby dobrze żeby również nasze konferencje nosiły nazwę *Szkola duchowości biblijnej* bo tam, gdzie jest duchowość, tam jest Duch, który ją ożywia, który jest jej wodą. I to jest na tym małym poziomie, powiedzielibyśmy: naszym wspólnotowym, parafialnym, stosunkowo niewielkim. Ale także i tu — kiedy jesteśmy, skoro się gromadzimy, także dzisiaj — to myślę, że każdy z nas czuje ten powiew Ducha.

Otóż nie inaczej widział te sprawy Jan Paweł II. Przypomnijmy sobie jego pierwszą pielgrzymkę, i przypomnijmy sobie jego słowa, jakże często przywoływane, ale trochę rzadziej zgłębiane. Papież przybył do Polski w czerwcu 1979 r. Wszyscy wtedy byli pełni entuzjazmu: „Mamy papieża!” Wszyscy byli gotowi podziwiać charyzmat jego osoby, mniej jeszcze – urzędu, bo nie zastanawialiśmy się, jak wielka to jest godność. Wszyscy byliśmy gotowi wsłuchiwać się w jego słowa i słyszeć to, co każdy chciał słyszeć. Natomiast papież, przybywszy do Warszawy, wypowiedział słowa, które idą po linii pawłowego Listu:

Niech zstąpi Duch Twój i odnowi oblicze ziemi.

Dodał: „Tej ziemi!” A więc siła papieskiej obecności nie polegała na samej obecności, ani na papieskich przemówieniach. Papież, w duchu św. Pawła — sam zresztą w swoim imieniu miał „Jan Paweł” — w duchu św. Pawła idzie po linii św. Pawła. I przybywając do swoich rodaków i mówiąc do nas językiem serca, a mówił wtedy do wszystkich pokoleń, także do tych, którzy urodzili się znacznie później i którzy kiedykolwiek się urodzą, otóż papież wtedy przywołuje Ducha Świętego. Tutaj dodajmy niejako na marginesie, chociaż to margines nie jest, że dla nas Polaków nauczanie papieskie, nauczanie Jana Pawła II, nie dlatego, że mówił je Karol Wojtyła, ale dlatego, że wypowiadał je Namiestnik Chrystusa, powinno stanowić stały pokarm i stałe źródło naszej wiary. Właśnie ten charyzmat osoby, podobnie jak tu charyzmat osoby św. Pawła, powinien przesądzać o tym, że głębiej przeżywamy, postrzegamy i przyswajamy rzeczywistość jego obecności, a także moc Ducha, o którego prosił. I trzeci aspekt:

...dokonało się przez Ducha Świętego, z wielką siłą przekonania. Wiecie bowiem, jacy byliśmy dla was, przebywając wśród was.

Otóż obok mocy Ducha najważniejszym świadectwem, i znakiem, i argumentem na rzecz skuteczności, jest świadectwo dawane przez tego, który głosi, który sprawuje ten charyzmat urzędu. Paweł powiada: „Wiecie, jacy byliśmy dla was, przebywając wśród was”. Żeby tak napisać trzeba było liczyć na to, że zostaną przywołane tylko dobre wspomnienia, dobre skojarzenia, że pozostała dobra pamięć. Otóż znów siłą Kościoła jest dobra pamięć o tych, którzy na tę pamięć zasłużyli, którzy tę pamięć współtworzą, którzy tę pamięć rozwijają, którzy tę pamięć kształtują. Człowiek pozbawiony pamięci przestaje być sobą. Naród pozbawiony pamięci przestaje być sobą. Kościół bez pamięci nie jest Kościołem. Siłą Kościoła jest pamięć. Dlatego codziennie wspominamy świętych i męczenników, wyznawców — ludzi, którzy żyli w odległych stuleciach. Ich przykład nas porusza, ich przykład nas zachęca do naśladowania, zastanawia nas. Czasami niektórzy z nas mają przywilej, kiedy to wstępują na ślady świętych, którzy żyli bardzo dawno. Są wśród państwa osoby, które były np. w Tunezji. I doskonale wiemy, jakim wielkim przeżyciem jest obecność w Kartaginie, na ruinach amfiteatru rzymskiego w Kartaginie. Gdybyśmy nie wiedzieli, co tam się stało, to zatrzymałyby te ruiny nasz wzrok może przez 15 sekund — tyle, ile jest potrzebne aby zrobić zdjęcie rzymskiego amfiteatru z I i II wieku po Chrystusie. Ale kiedy poznajemy życie biskupa Cypriana, kiedy dowiadujemy się w jakich warunkach, w jakich męczarniach zginął rzucony na pożarcie dzikim zwierzętom, wtedy zaczynamy czuć przedziwną solidarność z tymi, którzy bardzo dawno dawali przykład ufności i jednocześnie heroicznego w wyznawaniu wiary.

„Wiecie sami, jacy byliśmy dla was, przebywając wśród was.” Każde czasy mają swoich świętych, którzy dostarczają przykładów chrześcijańskiego życia, i w ten sposób pomagają tysiącom i milionom innych ludzi wyznawać Chrystusa jeszcze głębiej i jeszcze pełniej. Czasami śladów świętych nie musimy szukać bardzo daleko. Mamy je bardzo blisko, tylko nie jesteśmy tego świadomi. Czy to będzie o. Maksymilian Maria Kolbe i jego oświęcimski bunkier głodowy, który przecież istnieje, zachował się po dzień dzisiejszy, gdzie konał z głodu w okropnych mękach. Czy możemy pójść na ślady takich wyznawców, jak np. kardynał Stefan Wyszyński, mamy jego grób w archikatedrze warszawskiej. I z całą pewnością warto od czasu do czasu tam pójść, żeby doświadczyć tego niezwyklego charyzmatu świadectwa człowieka, którego nie ma, i który jest z nami, i jest dla nas. Otóż ile razy coś takiego następuje, tyle razy doświadczamy, że Kościół to nie jest li tylko rzeczywistość przestrzeni. Tzn. tu u nas jest Kościół, w zachodniej Europie jest Kościół, w południowej jest Kościół, w Stanach Zjednoczonych, a Ameryce Południowej, w Afryce, w Australii — wszędzie możemy pójść i odszukać ten Kościół. To jest jeden wymiar. Ale drugi wymiar – i ten drugi wymiar jest bardzo ważny – to fakt, że Kościół to jest również rzeczywistość w czasie. To nam pozwala przewyżnić wymiar czasu. Bo wtedy Tertulian staje się tak samo bliski, jak Augustyn, Augustyn jak papież Leon Wielki, papież Leon Wielki jak św. Wojciech, a św. Wojciech tak jak św. Jadwiga, św. Jadwiga tak jak święci późniejszych czasów, aż do naszych czasów. Wreszcie tak, jak kardynał Wyszyński, jak Jan Paweł II, a może — kiedy się zastanowimy — jak kobieta czy mężczyzna z sąsiedztwa którą znaleźliśmy, i która zmarła, i dała przykład żywej, heroicznego wiary i męstwa. I wtedy ci wszyscy święci, a w listopadzie warto o tym pamiętać, układają się w ten wymiar przewyżnienia czasu który sprawia, że doczesność staje się dla nas wprowadzeniem do wieczności. Otóż dlatego przestajemy się lękać przyszłości, także tej eschatologicznej, także tej, do której dochodzimy przez



śmierć, bo dzięki tej duchowości zakorzenionej w Piśmie Świętym, dzięki której mamy tylu znajomych świętych — sprzed wieków i z obecnych czasów, dzięki tej rzeczywistości mamy już przyjaciół po drugiej stronie życia — że zdajemy sobie sprawę, że nie ma się czego lękać, skoro tam jest takie mnóstwo, takie bogactwo, taka różnorodność, taka różnorodność tych, którzy szli do Boga i osiągnęli już swój cel. Są wśród nich różni ludzie, różne ścieżki, różne drogi. Czasami niewinności, czasami prowadzące przez ciężkie grzechy i odstępstwa — ale wszystkie w jednym kierunku. Otóż dzięki temu, dzięki takiej postawie również nasze życie nabiera nowego znaczenia. Bo to, co robimy, to, czym żyjemy na co dzień, staje się dla nas jakimś zadatkiem, jakimś wstępem do wieczności. Do wieczności, która kiedyś dla każdej i dla każdego z nas się rozpocznie. Wtedy doczesność jest właśnie jakby przedsionkiem, który prowadzi do tego domu, który jest naszym właściwym mieszkaniem.

Mówię tak nie tylko dlatego, że jest listopad, który skłania nas do tego rodzaju refleksji. Mówię tak dlatego, że te właśnie myśli można wyprowadzić ze słów świętego Pawła: „Wiecie bowiem, jacy byliśmy dla was, przebywając wśród was”. To bardzo ważne, jak żyjemy. Bo jakość naszego życia to jest zarazem siła naszego świadectwa. A przewyciężanie tego wymiaru czasu powoduje, że wszyscy czujemy się bliżej Pana Boga.

Wtedy — i to już słowa na koniec dzisiejszej naszej konferencji — Kościół jawi się nam nie jako instytucja, nie jako organizacja, nie jako jakaś społeczność, w której struktury są najważniejsze, jakieś zwyczaje czy praktyki, jakiegokolwiek one będą. Kościół jawi się nam jako rzeczywistość zbawcza, jako wspólnota, która sięga największych, najgłębszych tajników naszego serca i sumienia. Jako rzeczywistość, która wyzwala to, co w nas najgłębsze, najbogatsze, i co pozwala nam odczuwać i budować naszą solidarność między sobą i z Panem Bogiem. A wszystko to odbywa się przez Chrystusa, który ukazał nam kim jest Bóg: Ojcem, i Synem, i Duchem Świętym, a spoiwem życia bożego jest Miłość.

I wracamy do tego wątku miłości, bo to ona nadaje sens chrześcijańskiemu życiu i chrześcijańskiej tożsamości. To, co mówię, jest wzniosłe. I z całą pewnością wymaga jakiegoś wejścia na pewne duchowe szczyty. Ale na tym duchowość biblijna polega, żeby zawsze ogarniać takie horyzonty, których inni nie widzą albo nawet nie przeczuwają. I to właśnie wtedy, tak jak będąc w górach wstępujemy na wierzchołek z którego ogarniamy znacznie więcej niż wtedy, kiedy jesteśmy niżej, tak i dzięki tej duchowości biblijnej ogarniamy znacznie więcej. A to pozwala nam odczuć prawdziwość słów św. Pawła, że „być chrześcijaninem” to znaczy „być wybranym”.

Dzisiaj dziękuję państwu bardzo za uwagę, za skupienie, za wspólną refleksję. I zapraszam od dziś za trzy tygodnie — w pierwszy poniedziałek grudnia. Nie drugi, nie trzeci, bo wtedy będą rekolekcje adwentowe, tylko pierwszy poniedziałek grudnia, to jest dzień św. Barbary. Dziękuję pięknie. ..Chwała Ojcu, ...” Pochwalony Jezus Chrystus. Dobranoc państwu, i dobrej, spokojnej drogi.